

Hrabyk, Klaudiusz

Wspomnienia, część IX

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 13/3, 401-430

1974

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

KLAUDIUSZ HRABYK

WSPOMNIENIA

Kolejny fragment *Wspomnień* Klaudiusza Hrabyka obejmuje dalszy ciąg okresu jego pracy w warszawskim „Kurierze Porannym” do jesieni 1938 r.

Redakcja

[...] Konflikt z metropolitą Sapiehą o miejsce spoczynku Piłsudskiego na Wawelu nie był jedynym gwałtownym incydem. Również w czerwcu 1937 r. rozpoczął się w Krakowie proces Adama Doboszyńskiego oskarżonego o zorganizowanie napadu na posterunek policyjny w Myślenicach i popełnienie innych gwałtów przy pomocy zorganizowanej grupy ludzi. Napadu dokonał Doboszyński rok przedtem z 22 na 23 czerwca 1936 r. Sprawa o „wyprawę na Myślenice” skupiła uwagę całej Polski. Pojechałem na ten krakowski proces i wtedy po raz pierwszy zobaczyłem Doboszyńskiego w roli „bohatera” z ławy oskarżonych.

Równocześnie w Wilnie wybuchła głośna sprawa Henryka Dembińskiego, redaktora „Po prostu” i „Karty”, byłego działacza katolickiego Odrodzenia, który z czasem przeszedł na pozycję ideologii komunistycznej. Dembiński w czerwcu 1937 r. został aresztowany, po czym odbył się przeciw niemu i towarzyszom proces zakończony wyrokami skazującymi.

Prawie równocześnie w tych samych dniach powołano do życia Związek Młodej Polski, organizację stworzoną przez Ozon (OZN) płk. Adama Koca. Zastępcą kierownika Związku mianowany został Jerzy Rutkowski, delegowany na to stanowisko przez Bolesława Piaseckiego. Płk Koc objął formalnie funkcję kierownika nowej organizacji, ale był to tylko pozór, ponieważ właściwe jej kierownictwo spoczęło w rękach ludzi z Falangi. Nie odpowiadało to intencjom i ambicjom naszej grupy z „Kuriera Porannego”, przyjęliśmy zatem nie tyle samą inicjatywę utworzenia organizacji, ile dobrane dla niej kierownictwo co najmniej chłodno i obojętnie, nie udzielając Rutkowskiemu żadnego poparcia. Nie wróżyliśmy mu zbyt długiej kariery i nasze przewidywania okazały się trafne. Nie zabraliśmy głosu także w sprawie wileńskiej, nie mając należytego przekonania

nia do motywów, jakimi uzasadniono oficjalnie represje w stosunku do wileńskich działaczy.

W felietonie „Kuriera Porannego” drukowaliśmy w tym miesiącu *Proroka* N. B. Maxwella w tłumaczeniu H. Bukowskiej oraz M. Wańkowicza cykl artykułów *Osadnicy*. W tym czasie świat obiegrała sensacyjna wiadomość o ślubie byłego króla angielskiego, księcia Windsoru, z p. Wallis-Warfield, znaną jako pani Simpson; ślub cywilny odbył się w zamku Cande, a kościelny w Paryżu. Fryzurę młodej pani wykonał Polak, słynny już wtedy Antoine Cierplikowski. Mezalians byłego króla stał się w tym czasie tematem niezliczonych komentarzy i dowcipów, chociaż nie brakowało także przewidywań na temat symptomów zwiastujących nową erę w historii świata, w którym stare tradycje ulegają nowym obyczajom nie wykluczającym niespodzianek w rodzinie królewskiej największego mocarstwa i najdostojniejszej monarchii Europy.

Nie brakowało zatem wydarzeń i ewenementów dla pisma, które dokładnie je rejestrowało, omawiało i komentowało. „Kurier” podpisywał w tym czasie jako redaktor odpowiedzialny Jerzy Wiewiórski, a wydawała nadal Stołeczna Spółka Wydawnicza. Egzemplarz dziennika kosztował 20 groszy.

Lipiec przyniósł dalsze starcia. W nieprzerwanej dyskusji na temat demokracji pisałem wtedy: „Współdziałal demokracji w życiu Polski musi ulec reorganizacji w tym kierunku, aby podlegała ona dyscyplinie zbiorowej. Nie idzie oczywiście o dyscyplinę mechaniczną, ale o dyscyplinę w metodzie myślenia. Jeżeli wszyscy Polacy będą wiedzieli, że obok ich interesów osobistych, grupowych, zawodowych, partyjnych i innych, istnieje jeden najwyższy interes dobra narodowo-państwowego i że ten interes nie dopuszcza w żadnym wypadku i pod żadnym pozorem do dogadzania własnym i wszystkim innym interesom, będziemy mieli dyscyplinę w metodzie myślenia”. Kiedy indziej w tym czasie napisałem omawiając akcję OZN: „Wiele jest w tych przygotowaniach niedomagań, jak w każdym ludzkim działaniu, niejeden szczegół nie dość dobrze sprecyzowany urasta w miechu czujnej propagandy zazdrosnych i zdecydowanych przeciwników do rozmiaru kardynalnych błędów, kiedy tymczasem chodzi o sprawy drugorzędne”. A w innym artykule oświadczałem: „Jeżeli charakteryzuje się przyszły porządek w Polsce, to jedną z głównych jego cech powinna być zupełna likwidacja mafii w życiu polskim i tego wszystkiego, co jest ślepym narzędziem jej niemoralnej i występnej działalności”. Mowa tu była o tajnych organizacjach zarówno masonskich, jak równie tajnej mafii endeckiej, które przy pomocy swoich inspiracji wywierały nadal znaczny wpływ na życie i politykę polską. Mój artykuł o mafiach spowodował silne echo w prasie, wywołując dyskusję i reakcję na łamach „Dziennika Porannego”, „Naszego

Przeglądu”, „Małego Dziennika”, „Dziennika Ludowego” i innych pism. Odpowiadałem na te wystąpienia, poszerzając znowu gwałtowne starcia z prasą, głównie konserwatywną, „Czasem” i „Słowem”. Szczególnie silnie atakował mnie „Dziennik Ludowy”, posługując się jednak przede wszystkim metodą zaczepek osobistych, a nie argumentami merytorycznymi.

18 lipca dowiedzieliśmy się o tajemniczym zamachu na płk. Koca w Świdrach Małych. Nigdy nie doszło do wyjaśnienia tej sprawy, pomimo że aresztowano niejakiego Wojciecha Bieganka ze wsi Różopole w pow. krotoszyńskim. Było wiele oznak, że rzekomy zamach posiadał źródło w prowokacji policyjnej. Miała ona na celu spopularyzowanie osoby szefa OZN, którego pozycja zaczęła w tym czasie wyraźnie słabnąć, choć nigdy nie była dość mocna. Nie angażowaliśmy się zatem zbyt silnie w sprawę owego zamachu, od pierwszej chwili bardzo zagadkowego.

W sierpniu Jerzy Hulewicz w porozumieniu z Piestrzyńskim podjął ankietę na temat: „Kultura polska a Żydzi”, do której zaproszono kilkunastu uczestników, między innymi Jerzego Zagórskiego, Antoniego Millera, Karola Irzykowskiego, Henryka Domińskiego, J. E. Skińskiego, Michała Kaufmanna i innych. Hulewicz pisał na temat tej ankiety: „Gdzie krytyka stawała się zbyt daleko idąca, zwłaszcza pod względem formy przy równoczesnym braku rzeczowości, tam czuliśmy się zmuszeni do odmowy publikowania nadesłanego materiału. Staraliśmy się odegrać rolę dobrego przewodniczącego zebrania dyskusyjnego. Udzielaliśmy głosu zarówno przedstawicielom polskiej, jak żydowskiej kultury. Może niejedno zdanie przyczyni się do pewnych refleksji, które zagadnienie całe postawią na poważniejszym poziomie niż argument pięści i nerwów. Dlatego uważamy, że dyskusja była celowa”. Karol Irzykowski zabierając głos w ankiecie stanowczo odrzucił przede wszystkim „aspekt rasistyczny” jak również „kulturalistyczny”. Pisał: „Kultura nie jest emanacją »ducha« narodowego, ale emanacją czysto ludzką, kształtującą się poprzez zmienne koleje losu. Co tu owijać w bawełnę — pisał dalej Irzykowski — »Wiadomości Literackie« są prawdziwą akademią literatury, ustalają rangi, tematy zainteresowań, eliminują, roztrąbiają. Po długoletnim obcowaniu z tym pismem, po kolejnym ustosunkowaniu się do niego pro i contra, trudno mi nie wyleczyć się z filosemityzmu”.

[...] Na marginesie artykułu Jerzego Pietrkiewicza w „Prostu z mostu”, atakującego żydowską poetkę lubelską Franciszkę Arnsztajnową, wystąpił Józef Łobodowski krytykując Pietrkiewicza, po czym na łamach „Kurier Porannego” Henryk Domiński napisał: „Napaść Pietrkiewicza była tym ohydniejsza, że wymierzona przeciw kobiecie, która cieszy się powszechnym szacunkiem, która na taki szacunek zasłużyła sobie chlub-

ną pracą całego życia. I tu bez względu na przekonania, na różnice polityczne, społeczne i kulturalne, musimy tego rodzaju postępowanie skarcieć mocno, by na przyszłość się nie powtórzyło. To, panie Pietrkiewicz, są najbardziej prymitywne zasady utrzymania kulturalnych stosunków między ludźmi. Wiedz, panie Pietrkiewicz, że one istnieją i obowiązują". Natomiast Jerzy Hulewicz na ten sam temat napisał: „Sprawa rasowego pochodzenia w obecnych warunkach w stosunku do osób wartościowych, a tym bardziej zasłużonych, wymaga wielkiej dozy delikatności, na której taktyka polska tylko zyskać może. Jest to nad wyraz przykre dla człowieka wyższej kultury, jak w najsluszniejszej naszej sprawie wpycha się niesłusznie i niebacznie ludzi wartościowych, a nam przyjaznych w szeregi naszych wrogów i szkodników. Nie zwalczamy Żydów, w tym wypadku pisarzy dlatego, że są pochodzenia żydowskiego, ale dlatego i o tyle, o ile są szkodnikami sprawy polskiej. Nawet w ostrej walce z Żydami, którzy szkodzą, musimy umieć zachować szacunek dla ludzkich wartości tym bardziej, jeżeli te wartości służyły lub służą naszej narodowej sprawie". Obszerną wypowiedź opublikował w „Apelu” także żydowski pisarz Kaufmann.

W lipcu dziennikarz warszawski Jan Dąbrowski (ale nie ten z PPS, lecz inny) ogłosił wielki artykuł z relacją z kongresu syjonistycznego w Zurychu. Dąbrowski współpracował z nami także w późniejszym okresie i był w redakcji jednym z najbardziej cenionych publicystów i autorów naszego zespołu. W sierpniu rozprawiłem się z „Warszawskim Dziennikiem Narodowym” na temat młodego pokolenia. Młodzi endecy wchodzili w tym czasie coraz powszechniej na drogę zwyczajnego chuligaństwa i zbrodniczych rozbojów. Piętnowałem tę metodę, wskazując na konieczność radykalnych zmian w tej dziedzinie. Wdałem się także w kolejną ostrą polemikę z „Czasem”, o którym pisałem: „Handlarze starzyzną krążą między nami codziennie, ale ze szczególną natarczywością narzucają się w sezonie, w którym ludzie zmieniają garderobę i sprawiają sobie nową. I wtedy stręczyciele czynią wszystko, aby wyświechtane i znoszone łachmany sprzedać po najwyższej cenie”. „Czas” i „Ilustrowany Kurier Codzienny” wystąpiły w tym okresie namiętnie przeciw mojej krytyce Krakowa, gdzie kolejno wydarzyły się sprawy tego typu, jak słynna afera Paralewiczowej, Fleischerowej, Doboszyńskiego, sprawa wawelska i inne. Zwracając na to uwagę zapytywałem, czy przyczyną tych zjawisk nie jest przypadkiem specyficzna atmosfera tego miasta. Na tym tle przeprowadziłem również obszerną dyskusję z obu pismami.

W końcu sierpnia odbył się jednodniowy strajk chłopski w Małopolsce centralnej.

Wrzesień okazał się względnie spokojny. Na łamach „Kuriera Porannego” zaczął ukazywać się tygodniowy dodatek artystyczno-literacki pod

tytułem „Apel”, redagowany przez Jerzego Hulewicza. W pierwszym numerze ukazały się artykuły i wiersze Wacława Iwaniuka, Stanisława Piętaka, Ireny Szymańskiej, Czesława Janczarskiego, Zygmunta Mycielskiego. W następnych w ciągu roku 1937 drukowali w „Apelu” swoje prace: Józef Czechowicz, Mirosław Żuławski, Henryk Domański, Stefan Otwinowski, Józef Łobodowski, Jan Brzękowski, Ryszard Matuszewski, Jan Bolesław Ożóg, Maria Wrześniewska-Kruczkowska, Kazimierz Biernacki, Jaromir Ochęduszko, Jerzy Pleśniarowicz, Stefan Rassalski, Jerzy Baniewski, Alfred Kowałkowski, Wacław Mroziewicz, Aleksander Rymkiewicz. W 1938 r. przybyli do tego grona dalsi: Jerzy Waldorff, Zbigniew Drzewiecki, Jalu Kurek, Halina Wolska, Stanisław Rogowski, Stanisław Dygat, Jan Huszcza, Tadeusz Sułkowski, Tadeusz Cieślewski, Michał Chmielowiec, Michał Roźniatowski, Jerzy Grundt, Jerzy Pietrkiewicz, Krzysztof Henisz, Antoni Bohdziewicz, Jan Aleksander Król, Julian Rogoziński; Jerzy Putrament ogłosił jednorazowo esej pt. *Dwie twarze nocy*, a Jalu Kurek drukował *Treny na śmierć ojca*. Autorem „Apelów” był także Czesław Straszewicz, a K. I. Gałczyński ogłosił wiersz pt. *Jest i taka poeta*. Pisywała Zofia Kossak-Szczucka, Jan Lorentowicz, J. R. Bujarski, Czesław Miłosz, Tadeusz Zelenay, Wiesław Wohnout, Seweryn Pollak. Wachlarz autorów był więc szeroki i wszechstronny. W numerze wielkanocnym „Apelu” z 1938 r. ukazała się reprodukcja karykatury K. Henisza *Olsztyńska literacka*. W 40 numerze naszego dodatku literackiego z czerwca 1938 ogłoszono jakby wyznanie wiary jego zespołu. „Staramy się — pisano — o formy nowe w sztuce polskiej, wolimy jednak nieraz zrezygnować ze skrajności na rzecz zdecydowań. Stanowczo opowiadamy się po antynaturalistycznej stronie barykady w pełnym, humanistycznym znaczeniu jako współgranie materii i kształtującego się ducha. Stosunek nasz do sztuki jest zdecydowanie spirytualistyczny i gardzimy naturalizmem jako pomyłką. Po drugie front walki o rejudaizację literatury polskiej jest przedłużeniem naszej walki z kłamstwem (arealizmem), z zastaną rzeczywistością (naturalizmem). Jako artyści nie możemy być fanatycznymi rasistami. Postawa nasza jest ściśle kulturalna. Nic nas nie obchodzi to, czy jakiś malarz lub poeta jest aryjczykiem, skoro się zjudaizuje. Tak samo jest do pomyslenia okoliczność, że znajdzie się na naszych łamach artysta pochodzenia żydowskiego, gdy wykaże nierozzerwalny związek z hellencko-łacińską polską kulturą”.

W krótki czas potem „Apel” został jednak zlikwidowany, a Jerzy Hulewicz odszedł na tle nieporozumienia czy nawet konfliktu z Piestrzyńskim, którego przebiegu nie znałem i — niestety — nie pamiętam. W miejsce Hulewicza Piestrzyński powołał Jerzego Waldorffa, który zaczął redagować „Dodatek Literacki” już bez tytułu „Apel”.

Waldorff był młodym, świetnie zapowiadającym się nie tylko pisarzem i publicystą, ale także znawcą muzyki. Pisywał u nas już wtedy recenzje z koncertów w zastępstwie Mycielskiego jako „Zastępca”, a kiedy Mycielski wyjechał na dłużej z Warszawy do Bukowiny i przestał pisywać, Waldorff objął jego pozycję. W tym czasie wydał także książkę pt. *Sztuka pod dyktandem*, która wywołała burzę. Adolf Nowaczyński napisał o książce entuzjastyczną recenzję, natomiast krytycy lewicowi i „Nasz Przegląd” zakwalifikowali ją jako faszystowską. Waldorff powołał się na ostatni rozdział swojej książki, w którym stwierdził, że sztuka nie posiada warunków rozwoju w atmosferze dyktatury, co świadczyło, że nie miał intencji profaszystowskich. Kiedy autor tej książki objął redakcję „Dodatku Literackiego”, Hulewicz, widocznie w związku z tą sprawą, zerwał z nim stosunki towarzyskie i przestał mu się na ulicy kłaniać. W „Dodatku” wstępne wypowiedzi pisał głównie Waldorff. Oprócz niego wypowiadali się m. in. Tadeusz Breza, Czesław Straszewicz, Henryk Huzik, Feliks Zandler, Zofia Kossak-Szczucka. W kwietniu 1939 r. „Dodatek” przedrukował głośny, wspaniały i porywający wiersz Władysława Broniewskiego *Bagnet na broń* ogłoszony na łamach tygodnika „Czarno na białym”. Przedruk tego rewolucyjnego poety i jego wiersza z tego właśnie lewicowego tygodnika był jakimś dowodem, że redaktor „Dodatku” nie był wielbicielem faszyzmu. Zarówno „Apel” i zespół jego autorów, jak także późniejszy „Dodatek Literacki” był zaś dodatkowym dowodem, że „Kurier Poranny” pod naszą redakcją nie wzbudzał reakcji, która mogłaby oznaczać jakąkolwiek izolację także w sferach kulturalnych ówczesnej Warszawy. Zespół „Apelu” był na tyle liczny i jakościowo doborowy, że można było mówić o jego grupie. Tak też go traktowano. Niektórzy pisarze, jak Putrament, publikowali swoje prace dorywczo, jednorazowo lub sporadycznie, ale większość współdziałała zgodnie i stale.

Rozwijałem tymczasem nieprzerwanie kampanię prasową typu ideologiczno-programowego. W jednym ze swych artykułów opublikowanych we wrześniu pisałem m. in. „Z całą konsekwencją, w najgłębszym przekonaniu w słuszność naszego stanowiska i w imię siły i przyszłości Polski potępiamy i przeciwstawiamy się wszelkim zjawiskom anarchii w kraju. Bezkarność anarchii jest najlepszą pożywką dla budzenia się terrorystycznych planów [...]. W Polsce pod tym względem jest nawet inaczej. To wszystko i ci wszyscy, którzy przykładają rękę do anarchii w społeczeństwie, w pierwszych szeregach stale niosą transparenty: » precz z komuną«. W innym artykule pisałem: „Wysłuchujemy się w tętno ulicy i sposób myślenia tzw. zwykłego człowieka. Rządzi nim przede wszystkim plotka. Plotka stała się codziennym pokarmem politycznym społeczeństwa”.

czeństwa. Nie jest ważne, o co kto walczy. Dyskusje na tej płaszczyźnie nie znajdują prawie echa. Emocjonuje natomiast opinię plotka: kto z kim i przeciw komu? Jaka nastąpi najbardziej aktualna i prawdopodobna »siuchta«, kto gdzie intryguje, kto z kim mówi i z kim zawiera układy? Który z przywódców partyjnych ubiegnie drugiego? Życie publiczne i zagadnienia polityczne w tej sytuacji wyglądają jak teren obrzydliwych intryg, zawiści i podjazdów personalnych, rozgrywek, maleńkich ambicji. Najniższy gatunek plotki jest sprawdzianem rzekomych faktów. Człowiek, który przemawia do drugich w imię programu, apeluje do rozsądku — jest nieinteresujący. Jeśli zaś czasem usiłuje przeciwstawić się energicznie i gwałtowniej panującej zgrai plotkarzy i szerzonej przez nich demoralizacji, wtedy plotka kieruje się przeciw niemu, osacza go oszczerstwami, sięga po najpodlejszą broń walki, byle głos tego rodzaju zdusić, ośmieszyć i unieszkodliwić. Metoda ta skrzywia nam całą kulturę polityczną. Społeczeństwo judzone plotką nie jest zdolne do zajmowania się zasadniczymi zagadnieniami. Jesteśmy już blisko 20 lat samodzielnym państwem, a robimy chwilami wrażenie dzieci, którym dano ogień do zabawy”.

Pierwszy z tych artykułów dotyczył oczywiście przede wszystkim endecji, ONR i Falangi, których akcje z każdym miesiącem przybierały rozmiary zorganizowanych rozbojów i napadów, bo nawet nie demonstracji typowych dla każdej akcji opozycyjnej. Druga wypowiedź odnosiła się do niezdrowej w najwyższym stopniu atmosfery owych plotek, które stanowiły systematyczną pożywkę rozpowszechnianą przez koła opozycji wśród społeczeństwa. Polegało to na powtarzaniu, a nawet publikowaniu w prasie różnych z pałca najczęściej wyssanych pogłosek pozornie politycznych na tematy bądź osobiste, bądź inne, które, powtarzane masowym systemem, powodowały nieustanne zamieszanie i podniecenie wśród opinii. Doszedłem do przekonania, że skuteczną metodą chociaż częściowego przeciwdziałania tej metodzie propagandy będzie wprowadzenie na łamach „Kuriera” specjalnej rubryki z informacjami typu plotkarskiego, ale wyraźnie w ten sposób skwalifikowanymi w przeciwieństwie do metody kolportowania plotek jako informacji rzekomo sprawdzonych i autentycznych. Wprowadziłem dlatego na łamy „Kuriera” specjalną rubrykę pt. „Na odcinku plotek”, która zawierała informacje mniejszego lub małego znaczenia zasłyszane bądź w kularach sejmowych, bądź w kawiarniach, bądź gdziekolwiek indziej, ale nie sprawdzone i w przeważnej części dlatego nieścisłe. W ten sposób niwelowałem chociaż w drobnej części oddziaływanie tych samych plotkarskich informacji podawanych na pierwszych stronach prasy opozycyjnej pod wielkimi tytułami. Nowa rubryka spowodowała reakcje ze strony niektórych zainteresowanych pism opozycyjnych, które zrozumiały jej

intencję, ale wytłumaczyłem na łamach „Kuriera”, jaki cel ma nasza metoda piętnowania plotek przekazywanych przez opozycję w formie rzekomo poważnych i odpowiedzialnych wiadomości, bałamucących społeczeństwo. Nikt potem nie kwestionował plotkarskiej rubryki naszego dziennika. Rubrykę plotek redagowałem na podstawie codziennych informacji zbieranych przez specjalnie do tego celu zaangażowanego Portnera. Przejął się on tą funkcją na tyle, że z czasem umiał zebrać po kilka plotek dziennie. Resztę uzupełniałem informacjami z różnych małych agencji prasowych, których się w tym czasie sporo w Warszawie namnożyło. Każda z nich była inspirowana przez inny klan opozycji i stąd każda była kopalnią najczęściej zmyślonych wiadomości politycznych. Gromadziłem to w naszej rubryce jako plotki, gdy tego samego dnia w prasie opozycyjnej te same plotki publikowano w formie „miarodajnych” informacji.

*

Ostatni kwartał 1937 r. wyróżnił się kilku ważnymi wydarzeniami natury międzynarodowej i kilku wypadkami w kraju. Do pierwszych należało podpisanie 7 listopada tzw. układu antykominternowskiego przez Ciano, Ribbentropa i Japończyka Hotta w pałacu Chigi w Rzymie. Oznaczało to utworzenie bloku trzech państw wymierzonego przeciw Związkowi Radzieckiemu, a także komunizmowi. To posunięcie Hitlera wskazywało na jego szerokie plany obejmujące nie tylko Europę, ale również Azję i było dowodem, że Trzecia Rzesza wkracza na tory imperialistycznych zakusów o zasięgu światowym, z głównym akcentem na Wschodzie. Był to sygnał już niedwuznaczny i zdecydowanie groźny.

W stosunkach polsko-niemieckich doszło także w listopadzie 1937 r. do podpisania układu w sprawie mniejszości narodowych w Polsce i w Niemczech. Przedstawiciele mniejszości niemieckiej w Polsce z senatorami: Hasbachem, Wiesnerem i Kohnertem zjawili się na Zamku u Mościckiego, natomiast Hitler w tym samym dniu przyjął Jana Kaczmarka, Stefana Szczepaniaka i Openkowskiego jako rzeczników mniejszości polskiej w Niemczech. Była to w praktyce zwykła maskarada, ponieważ w tym samym okresie mniejszość niemiecka i jej przywódcy w Polsce gotowali się już do roli „piątej kolumny”, a mniejszość polska w Niemczech w dalszym ciągu ulegała dyskryminacji poza nielicznymi wypadkami pozornych ustępstw niemieckich. W grudniu podjęto w prasie polskiej kampanię na rzecz przyznania Polsce zamorskich kolonii. Miało to być dalszym dowodem mocarstwowych ambicji państwa polskiego i jego równouprawnienia z innymi mocarstwami Europy.

Do wewnętrznych wydarzeń z tego okresu należało powołanie do życia bazy krajowej tzw. Frontu Morges. Odbył się wspólny kongres

Chrześcijańskiej Demokracji i Narodowej Partii Robotniczej, które powołały wspólne Stronnictwo Pracy, stanowiące główną masową organizację wspomnianego Frontu. Front był formacją o dość nie sprecyzowanej formie. Było to raczej luźne porozumienie kilku wybitniejszych działaczy i przywódców opozycji, którym patronował Ignacy Paderewski mieszkający w Morges w Szwajcarii, gdzie uczestnicy tej grupy odbywali zazwyczaj spotkania i narady. Wśród nich wymieniano głównie gen. W. Sikorskiego, Popiela, S. Strońskiego, W. Korfatego i innych. Endecja i socjaliści zajmowali wobec tej formacji stanowisko co najmniej niechętnie i ostrożne. Pomawiano ją o powiązania z kołami masońskimi na Zachodzie, a głównie we Francji. Witos również nie angażował się zbyt w tej akcji. Stronnictwo Pracy miało służyć jako platforma organizacyjna Frontu Morges w kraju. Połączenie dwu stronnictw nie dało jednak spodziewanych efektów, ponieważ obie zjednoczone grupy nie przedstawiały w skali ogólnokrajowej szczególnej siły, wykazując się częściowym wpływem tylko w niektórych okolicach zachodnich dzielnic Polski. Nie miały większego oparcia ani w byłym Królestwie, ani w Małopolsce. W praktyce Front Morges był efemerydą, która urosła do rozmiarów siły politycznej dopiero w wyniku wybuchu wojny, na emigracji w Paryżu. Ale to były lata późniejsze.

*

W październiku rząd wprowadził nagle kuratora do Związku Nauczycielstwa Polskiego. Został nim niejaki Paweł Musioł ze Śląska, zaufany grupy Falangi. Związek Nauczycielstwa był podejrzany o koneksje komunistyczne, a co najmniej skrajnie lewicowe. Stwierdzono m. in., że Związek subwencionował spółdzielnię „Oświata”, która była wydawcą „Dziennika Porannego”, pisma wypowiadającego się za Frontem Ludowym. Wprowadzenie kuratora spowodowało kontrakcję legalnych władz Związku i sprawa przybrała szerokie rozmiary. W prasie podjęto nagonkę na Związek, w czym celował „Ilustrowany Kurier Codzienny”. Proendecki „Wieczór Warszawski” aprobował również decyzję rządu. W „Kurierze Porannym” zachowaliśmy wobec tej sprawy umiar, nie podejmując kampanii przeciw Związkowi i ograniczając się do przekazywania ujawnionych informacji dotyczących zarządzeń rządu. Związek Nauczycielstwa Polskiego uchodził za organizację lewicującego nauczycielstwa, ale współpracującego z rządem w ramach pracy szkolnej. „Kurier Poranny” posiadał znaczny zasięg czytelników wśród nauczycieli, i to było główną przyczyną jego wstrzeźliwości w sprawie kuratorstwa rządowego w tej organizacji. W ogóle zaś utrzymywaliśmy nadal linię zainteresowania wszelkiego rodzaju ruchami zawodowymi typu

niepartyjnego, jak np. ruchem zawodowym pracowników umysłowych, którego sprawom poświęcaliśmy stale na naszych szpaltach dużo miejsca, kontynuując w ten sposób dawną tradycję pisma.

Jesienią odbył się proces prasowy z oskarżenia wojewody śląskiego Michała Grażyńskiego, którego „Czas” nazywał „wodzem naczelnym” Naprawy, przeciw Catowi Mackiewiczowi ze „Słowa”. Grażyński skarżył Cata o zniesławienie popełnione m. in. w ten sposób, że Cat wytknął Grażyńskiemu zmianę nazwiska. Okazało się w czasie procesu, że zmienił je ojciec Michała, który urodził się już jako Grażyński. Natomiast oskarżyciel przedstawił metrykę Cata-Mackiewicza, z której wynikało, że Cat na chrzcie otrzymał jako drugie imię Łazarz i imienia tego nigdy nie używał ze względu na jego poniżające brzmienie. Stanisław Łazarz Mackiewicz nie zaprzeczył swemu drugiemu imieniu, a prokurator Sieroszewski oświadczył, że „Stanisław Łazarz Mackiewicz jest człowiekiem cynicznym w stosunku do haseł politycznych”. Sąd skazał Cata na 3 miesiące aresztu, obniżonego przez sąd apelacyjny do dwu miesięcy. Sąd w wyroku odrzucił przy tej sposobności twierdzenie obrony, że Cat jest najwybitniejszym dziennikarzem w Polsce.

Z innych sensacji politycznych zanotowaliśmy publiczny atak Stanisława Grabskiego na łamach peowiackiego pisma we Lwowie „Wola i Czyn” wymierzony w Stanisława Głabińskiego, któremu Grabski odmawiał tytułów do powoływania się na jego przywództwo w endecji przed pierwszą wojną światową. Grabski podejmował podobne ataki nie po raz pierwszy. Rok przedtem w 1937 r. poddał krytyce na łamach prasy lwowskiej także Dmowskiego. Rozbrat Grabskiego z endecją był już całkowity.

W dalszym ciągu toczyłem spory z prasą opozycyjną, w pierwszym rzędzie nadal z konserwatystami, jako „martwą pozycją w życiu polskim”. Z „Naszym Przeglądem” przeprowadziłem dyskusję na temat polskiego parlamentaryzmu w artykule pt. *Wydział śledczy czy parlament?* W artykule *Zawiła droga przez Trzeci Most na Zamek* przypomniałem na marginesie zjawienia się delegacji PPS na Zamku u Mościckiego, że PPS w 1926 r. najpierw obaliła parlamentaryzm polski wspierając Piłsudskiego, a teraz domaga się wyborów jako antidotum na rządy jego obozu. Delegacja PPS przedstawiła bowiem Mościckiemu postulat rozpisania wyborów sejmowych, aby doprowadzić do ustabilizowania sytuacji w kraju. Był to wtedy pierwszy wypadek, po r. 1926, w którym partia opozycyjna zwróciła się oficjalnie i bezpośrednio do rzecznika ówczesnego systemu z petycją natury politycznej. Był to na pewno akt dobrej woli ze strony PPS, ale nie spotkał się ze spodziewanym echem ze strony ani rządu, ani OZN. Piłsudscy oceniali swoją pozycję nadal jako pomyślną i dostatecznie silną.

Rozpisałiśmy ankietę na temat: „Jak młodemu pokoleniu zapewnić byt w Polsce?” W grudniu ukazał się obszerny artykuł na temat katastrofalnej sytuacji mieszkaniowej w Polsce. Stwierdzaliśmy, że dwie trzecie ludności miast woła o dach nad głową i że 68,7% tej ludności mieszka w jedno lub dwuizbowych mieszkaniach, a połowa mieszkań robotniczych pozostaje bez światła, połowa tonie w wilgoci, również połowa nie ma wodociągów i zlewów, trzecia część mieszkańców tych mieszkań korzysta ze wspólnych zlewów na korytarzach, tylko $\frac{1}{4}$ ma zlew i wodociągi w mieszkaniach, a 90% mieszkań nie ma w ogóle ustępów. Mieszkania robotnicze nie miały również wanien. Te przerażające dane opublikowaliśmy z okazji Kongresu Mieszkaniowego, który zebrał się właśnie w Warszawie. Domagaliśmy się konkretnych wskazań co do sposobu rozwiązania tego palącego problemu.

W październiku ukazał się dodatek „Kuriera” pod nazwą „Wiejska Droga”, który był inspirowany przez Związek Młodej Wsi, ale bez ujawnienia jego firmy. W pierwszym numerze opublikowano artykuły Stanisława Gierata i Romana Wojciechowskiego, członka naszej redakcji. Pisywali w tym dodatku później Wacław Szyszkowski i poseł Antoni Langer z grupy tzw. kadzichłopów. Byli to działacze różnych politycznych grup chłopskich, którzy znaleźli się w tym okresie w tzw. wiejskim sektorze OZN i prowadzili na wsi akcję prorządową. Z końcem roku wydaliśmy blisko 90-stronicowy *Special Anglo-Polish Commercial Supplement* jako numer gospodarczy poświęcony współpracy polsko-brytyjskiej. Słowo wstępne napisał min. handlu i przemysłu A. Roman oraz brytyjski ambasador w Polsce H. W. Kennard i ambasador Polski w W. Brytanii E. Raczyński. W tym samym okresie ukazał się następny dodatek „Kuriera” pt. „Szkoła i Społeczeństwo”. Znajdowaliśmy się w pełnym rozpędzie nowych inicjatyw. Czasy nie wydawały się na razie szczególnie groźne. Groźny stał się dopiero rok następny.

*

W noworocznym numerze „Kuriera” w dniu 1 stycznia 1938 r. Ryszard Piestrzyński w artykule redakcyjnym pisał: „Ludzie przeszłości, ludzie ciągłych wątpliwości, którzy nie rozumieją sprzeczności czasów obecnych, ludzie, którzy nie zdają sobie sprawy z charakteru organizacji współczesnej obronności, nie dostrzegają, być może, znaczenia, jakie dla Polski posiada idea Wodza. Niechaj w nadchodzącym roku oddali się kraj od nędzy, niechaj praca będzie wywyższona, a bezrobocie zniszczone, niechaj obywatel poczuje się silniej jeszcze związany z własnym państwem, niechaj realizacja sprawiedliwości społecznej ulegnie przyspieszeniu, niechaj odświeży się cała nasza struktura narodowo-państwowa

przez dopływ warstw młodych, ludowych. Kończy się okres doktrynerstwa w polityce międzynarodowej. Realizm zdobywa prawa obywatelstwa. Wszędzie, bez względu na stosunek do demokratyzmu czy do tzw. totalizmu, zwycięża pogląd, że nie tylko przyszła wojna, ale i aktualne zmagania narodu przybierają, czy kto chce, czy nie chce, charakter totalny”.

Nie kwestionowałbym dziś dobrych intencji mego kolegi i autora tej wypowiedzi, który był człowiekiem równym i dobrodusznym, gdyby nie były to zaledwie drętwe, okolicznościowe słowa noworocznego frazesu. W niewiele ponad trzy tygodnie potem premier Sławoj-Składkowski w komisji budżetowej Sejmu przedstawił statystykę ludzi zabitych w Polsce przy różnych okazjach. W roku 1932 — powiedział wtedy Sławoj — było zabitych (przez policję) 141 osób, w 1933 r. — 145, w 1935 r. — 143, w 1936 r. — 157, w 1936 r. — 114, w tym 42 osoby zabite w Małopolsce środkowej podczas strajku chłopskiego. Wedle obliczenia premiera w liczbie z ostatniego roku 60 zabitych rekrutowało się ze środowisk kryminalnych, a 12, jak się wyraził Sławoj, „przy innych nieporządkach i zajściach politycznych”, co łącznie skłoniło go do optymistycznego stwierdzenia, że „poza tragicznymi zajściami w Małopolsce rok ten [1937] był spokojny”.

Ponadto „Kurier Poranny” zanotował z początkiem stycznia, że w zakładach Hohenlohego w Wełnowcu na Śląsku od 14 dni odbywa się strajk głodowy 600 robotników, prowadzących tzw. strajk okupacyjny. W tym samym miesiącu pisaliśmy w „Kurierze”, że do sprzątania śniegu w Warszawie przyjęto 3341 bezrobotnych stolicy. We Lwowie rektor prof. Kulczyński w związku z tzw. sprawą ławkową w uniwersytecie Jana Kazimierza ustąpił ze swego stanowiska, nie chcąc, jak oświadczył, podpisać aktu wprowadzającego urzędowy rozdział miejsc osobnych dla Żydów, a osobnych dla Aryjczyków. Senat uniwersytetu wyraził rektorowi uznanie i podziękowanie za pełną poświęcenia i wysiłku obronę powagi władzy rektorskiej i praworządności w życiu uniwersyteckim. Żydzi studenci na uniwersytecie słuchali tymczasem wykładów stojąc. Ustąpili równocześnie na tym samym tle dziekan wydziału lekarskiego prof. Ostrowski i dziekan wydziału matematyczno-przyrodniczego prof. Samsonowicz. W Łodzi bezrobotni pozbawieni zasiłków otrzymywali doraźną pomoc z Funduszu Pracy. Otrzymało ją 5500 rodzin, 12 tys. gwiazdkowych paczek rozdano dzieciom bezrobotnych. Posiłków wydano dla 8 tys. osób. Tak się przedstawiał tylko styczniowy fragmentaryczny bilans sytuacji w kraju. W wywiadzie dla „Kuriera” przewodniczący Centralnej Komisji Porozumiewawczej Związków Pracowniczych M. Józefkiewicz powiedział jednak: „Przez pracę i sprawiedliwość społeczną do powszech-

nego dobrobytu, przez powszechny dobrobyt do potęgi państwa". Ale były to tylko puste słowa. Fakty były od nich odległe.

14 stycznia min. Józef Beck spotkał się z Hitlerem i Neurathem. Hitler gotował się do swej wielkiej, zbrodniczej gry europejskiej, ale na zewnątrz nie ujawniano na razie sygnałów zbliżającego się nieszczęścia.

11 stycznia nastąpiła zmiana na stanowisku szefa OZN. Koc po niefortunnym okresie swojej misji ustąpił, a na jego miejsce powołał Śmigły gen. Stanisława Skwarczyńskiego, oficera służby czynnej. Koc umotywował swoje odejście stanem zdrowia. „Zły stan zdrowia nie pozwala mi włożyć w prace OZN tak pełnego wysiłku, jakiego one wymaga”. Koc na pewno nie należał do okazów zdrowia, ale motyw jego dymisji były w rzeczywistości polityczne, a nie zdrowotne. Jego nieudany flirt z Falangą i metoda kunktatorstwa, pogłębiana brakiem decyzji, wywołały znaczne sprzeciwy w kołach pilsudczykowskich. Następca nie był jednak lepszy. Był wprawdzie zdrowy, ale reprezentował postawę apolityczną ze wszystkimi brakami, jakie mają z reguły czynni, zawodowi generałowie w życiu politycznym. Byliśmy zdumieni tym wyborem. Śmigły zdawał się mieć niedobrą rękę przy typowaniu ludzi na odpowiedzialne stanowiska polityczne. OZN pod kierunkiem generała Skwarczyńskiego nie miał szansy ukształtowania się jako obóz polityczny z prawdziwego zdarzenia. Zakulisową postacią w kierownictwie OZN wydawał się być Bogusław Miedziński, posiadający na pewno pełne kwalifikacje wytrawnego polityka, ale tworzenie na stałe zakulisowych doradców dla przywódcy wyznaczonego do roli figuranta nie mogło prowadzić do pomyslnych rezultatów.

„Czas” podjął gwałtowny alarm, że do władzy i wpływów doszła tzw. Naprawa i grozi premierostwo min. Juliusza Poniatowskiego, który uchodził za radykała napierającego na wykonywanie reformy rolnej. „Czas” był wręcz przerażony: „Rząd p. Poniatowskiego — pisał organ konserwy — byłby rządem wybitnie lewicowym, jeśli nie wprost Frontu Ludowego. Miałby przeciwko sobie olbrzymią większość społeczeństwa, miałby przeciw sobie większość obu Izb, stanowiłby przekreślenie ideowego dorobku pomajowego obozu”. Nie było do tego popłochu żadnych podstaw, ponieważ w OZN nikomu nie śniło się ani o Naprawie, ani o Froncie Ludowym, ani także o lewicy, a jedyny jej wątpliwy sympatyk, tzw. szef sztabu tej organizacji płk Jan Kowalewski, właśnie świeżo został z OZN usunięty. Krakowski organ chadecji spoglądał dlatego spokojniej na sytuację. „Głos Narodu” pisał, że skoro w skład rady naczelnej OZN wszedł przy zmianie Zdzisław Stahl i czterech księży, to „nie dowodzi to zasadniczego zwrotu na lewo”. Ze Stahlem i księżmi, ale także i bez nich, zmiana w OZN nie oznaczała kierunku na lewo. Kierunek był już wytknięty, chodziło tylko o nadanie mu właściwego

tonu i stylu. Falanga okazała się za gwałtowna, postanowiono zatem przyjąć zasadę umiaru, ale bez naruszania linii generalnej. Jako grupa posiadaliśmy poważne i realne szanse, aby z czasem uregulować tę linię i zyskać dla niej pilsudczyków, a raczej Śmigłego i pułkowników.

W artykule *Należy podjąć ofensywę* pisałem w przeddzień zmian w OZN: „Obrona jest zawsze tylko przejściową zasadą taktyczną. W ogólnym planie działania przychodzi moment, w którym należy zastosować akcję nie tylko zaczepną, ale ofensywną, w wielkim stylu. Analiza roku 1937 prowadzi do wniosku, że rok bieżący powinien stać się momentem dla żywiołów skupionych około idei konstruktywizmu narodowo-państwowego”. Nie wiedziałem, że snując takie plany i nadzieje, gruntownie się mylę, ponieważ rok 1938 wysunął w dziedzinie problemów narodowych i państwowych potrzeby na zupełnie innym tle i był przedostatnim rokiem przed czarną nocą Polski.

W tym samym czasie pisałem również na temat programu w sprawie mniejszości narodowych: „Polska to nie tylko większość, która państwo powołała do życia i która jest odpowiedzialna przed historią za jego całą przeszłość. Ale to także ci, którzy wołą narodu polskiego znaleźli się w granicach Rzeczypospolitej. Zadaniem naszej polityki jest stworzyć taką sytuację, aby dzisiejsze mniejszości w Polsce czuły się dumne z przynależności do państwa polskiego, aby uważały naród polski za macierzysty ośrodek własnej siły, kultury i rozwoju”. Niewiele to — niestety — miało wspólnego z realną rzeczywistością polską owych lat i stanowiło zaledwie hasło pozbawione warunków powodzenia.

Poza tym odbyłem znowu polemiki i dyskusje to z „Kurierem Warszawskim” i jego głównymi publicystami B. Koskowskim i S. Strońskim na temat Frontu Morges, to z „Kurierem Polskim”, organem Lewiatana, na temat „zależnej niezależności”, jako fikcji opartej na fałszu. Chodziło o teorię rozwijaną stale przez prasę opozycji, jakoby ona była niezależna, a prasa rządowa zależna. Wykazywałem, że prasa partyjna jest zależna od partii, a „Kurier Polski” od Lewiatana i nie ma dlatego prasy niezależnej, skoro każde pismo posiada swoje zaplecze uzależniające je od jego celów i dążeń typu politycznego, gospodarczego czy klasowego.

Zanotowaliśmy także dziesięciolecie „Awangardy”, która była centralnym organem ideologicznym naszej grupy, tj. Związku Młodych Narodowców. „W zakresie ideologii narodowej — pisała z tej okazji „Awangarda” — jesteśmy spirytualistami. Wierzymy w istnienie duszy narodowej, w jedność duchową narodu poprzez wieki. Dla nas prymat polskości, zarówno w dziedzinie zewnętrznej, jak też i wewnętrzno-politycznej, jest prymatem ducha polskiego. Zdajemy sobie również dobrze sprawa-

wę z tego, że takie sformułowanie rodowodu wywodzi się z chrześcijaństwa, które stanowiło prymat duchowości w świecie”.

Kazimierz Wierzyński powołany został w styczniu do Polskiej Akademii Literatury. Jerzy Hulewicz z tej okazji złożył mu na łamach pisma gorące gratulacje.

W lutym Hitler mianował się naczelnym wodzem armii w miejsce marszałka Blomberga, a w miejsce Neuratha powołał Ribbentropa na stanowisko ministra spraw zagranicznych. „Rozwój biegu wypadków — pisał „Kurier Poranny” — da niewątpliwie w najbliższej przyszłości bogaty materiał dla obserwacji i oceny Niemiec Adolfa Hitlera”. Była to jakby pierwsza, ostrożna oznaka wzmożonej czujności. Ale z końcem miesiąca, co prawda na dalszych stronach, ukazało się w „Kurierze” zdjęcie Hermana Goeringa z Ignacym Mościckim na polowaniu w Białowieży przy ubitych dzikach. W połowie lutego nastąpiła „rekonstrukcja” rządu Austrii po rozmowie Hitlera z kanclerzem Schuschniggem. Do gabinetu weszło po raz pierwszy czterech narodowych socjalistów z Seyss Inquartem jako ministrem spraw wewnętrznych. Zaczęliśmy zbliżać się do dni krytycznych, ale ciągle panował spokojny nastrój. Do Polski przybył regent węgierski Horthy z oficjalną wizytą.

Na odcinku wewnętrznym nie folgowano. Oficerowie garnizonu wileńskiego pobili ciężko i brutalnie docenta uniwersytetu Stanisława Cywińskiego za napisanie i ogłoszenie w endeckim „Dzienniku Wileńskim” artykułu „znieważającego imię J. Piłsudskiego”. Rektor zawiesił z kolei Cywińskiego w prawach docenta, a prokurator wytoczył mu sprawę sądową za obrazę imienia Piłsudskiego. Do Berezy wysłano z Wilna K. Kownackiego, W. Świerczewskiego i S. Łochtina.

W pół roku później, już po procesie skazującym Cywińskiego, jakby mało było pobicia, ukazał się w „Kurierze Porannym” obszerny przedruk z broszury Melchiora Wańkowicza pt. *Odpowiadam Cywińskim*. Wańkowicz napisał ją i wydał w związku z atakami obrońców Cywińskiego wymierzonymi podczas procesu przeciw Wańkowiczowi. Pomawiano go o napisanie w czasopiśmie „Naród i Państwo” anonimu potępiającego „wybryk” Cywińskiego w recenzji z książki Wańkowicza o Centralnym Okręgu Przemysłowym. Właśnie w tej recenzji Cywiński wyraził się obelżywie o Piłsudskim. Wańkowicz w broszurze kategorycznie zaprzeczył, jakoby był autorem notatki w „Państwie i Narodzie”, ale równocześnie poruszył szereg zagadnień związanych pośrednio lub bezpośrednio z Cywińskim, określając Cywińskiego jako „wyklamującego się człowieka”. Pisał m. in. „Tak, jak dobry katolik może tolerować uzasadnione ostre słowa w stosunku do kleru, a nie może znieść ich w stosunku do dogmatów ani świętych, tak i dobry Polak zniesie ostre słowa w stosunku do narodu, jako do otaczającej go rzeczywistości, zwłaszcza jeśli pocho-

dzą one od człowieka, który płaci za nie cierpieniem, a nazwie je sukcesem w stosunku do swoich bohaterów. Wstyd nawet pisać takie uzasadnienie, ale proces taki jak ten [przeciw Cywińskiemu] mówi, że trzeba. Czułem więc, że trzeba z tym coś począć. Postanowiłem przyspieszyć możliwie termin swojej »środy literackiej« [w Wilnie]. Rachowałem, że będę miał wśród słuchaczy prof. Cywińskiego. Postanowiłem wezwać go z mównicy do opuszczenia sali, nim rozpocznę wykład. Uważałem, że go dostatecznie napiętnuję. Zapewne i wówczas zaszyby jakieś konsekwencje, jak np. pozbawienie docentury. Ale nie miałyby może miejsca odruchy samosądu względem człowieka, który już został publicznie potępiony. Wypadki, które nastąpiły, nie są zapewne najlepszym wyjściem, ale lepiej — pisał Wańkowicz — że stało się tak, niż gdyby wcale nie było reakcji. Może lepiej by było — rozważał autor broszury *Odpowiadam Cywińskiemu* — gdyby się domyślano rozłożyć pięknie recenzenta na numerze pisma z inkryminowanym artykułem i odmierzone mu *lege artis* dwadzieścia pięć sakramentalnych plag. Trudno, przy natychmiastowej reakcji nie ma miejsca — ciągnął Wańkowicz — na uroczysty protokół. Zresztą — wtedy by krzyczano o sadystycznej ceremonii bicia na zimno. Teraz zarzucają, że bito na gorąco. Zapewne by tym krzykaczom — pisał Wańkowicz na zakończenie — dogodziło, gdyby nie bito wcale, a żeby sąd orzekł, że Piłsudski to nie naród i nie znalazł odpowiedniego paragrafu. Wówczas armia byłaby nadal »kochanymi żołnierzami«, sąd praworządny, tylko straszno by się robiło żyć w tej Polsce rozsądnej i praworządnej” — konkludował autor tej wypowiedzi.

[...] W tym samym czasie organ Frontu Morges, tygodnik „Zwrot”, ogłosił publiczne wezwanie, aby zgłaszano się do redakcji „z materiałami faktycznymi o osobie Melchiora Wańkowicza” w związku z procesem, jaki mu wytoczyło 17 adwokatów Cywińskiego o zniesławienie. Zdaje się jednak, że do tego procesu, a co najmniej jego zakończenia, nigdy nie doszło.

W samym Stronnictwie Narodowym zapanowało totalne zamieszanie. Stanisław Stroński wystąpił z jego szeregów i stał się w lutym redaktorem politycznym „Kuriera Warszawskiego” po zmarłym B. Koskowskim, ale przedtem odbyła się publiczna wymiana poglądów między Strońskim a Stanisławem Kozickim, publicystą „Warszawskiego Dziennika Narodowego” na temat Ligi Narodów, której rolę Kozicki kwestionował. Artykuły Strońskiego ukazały się ponadto na łamach katowickiej „Polonii”, organu Korfantego, czyli Frontu Morges, który nie budził aprobaty centralnych władz endecji, ale zyskał sympatie Mariana Seydy z „Kurieru Poznańskiego”, również wybitnego publicysty endecji wypowiadającego się za linią S. Strońskiego. Na tym tle ogłosiłem artykuł pt. *Trudno nie*

pisać satyry, a Piestrzyński ten sam temat omówił w publikacji pt. *Kij w mrowisku*.

Równocześnie wpadliśmy w konflikt z Katolicką Agencją Prasową, która zapowiedziała wytoczenie przeciw nam skargi za artykuł w sprawie kościoła wschodniego na tle instrukcji św. Kongregacji *Pro incenso studio*. Odpowiadałem na zapowiedź tej skargi: „Konkordat, na który powołuje się komunikat KAP, ma oczywiście na celu ochronę interesów Kościoła katolickiego, ale nie ma najmniejszej wątpliwości, że konkordat ma również na celu ustalenie zasad ścisłego współdziałania czynników państwowych z czynnikami Kościoła”.

W związku z rysującymi się chmurami na horyzoncie międzynarodowym pisałem w połowie lutego: „Polskę stać na to, aby wytworzyła własny blok, własną ideę i własny porządek. A przede wszystkim własną siłę. Celem istnienia państwa polskiego nie jest realizacja żadnej z istniejących i najbardziej ponętnych doktryn ideowych, z których każda może stać się naszym sprzymierzeńcem, o ile stanie się narzędziem naszej polityki. Ale z równym spokojem każdą odrzucimy, o ile będzie nam rozsadzała naszą siłę”. Były to oświadczenia obliczone na wzmocnienie nastrojów narażonych na powikłania w obliczu coraz bardziej narastającej grozy położenia. „Możemy z innymi współdziałać — pisałem w tym artykule — możemy być równorzędnym pełnowartościowym partnerem w rozgrywce różnych czynników, ale nie możemy być ich echem”.

W odpowiedzi na hasła endeckie na temat potrzeby wzmocnienia nacjonalizmu w wydaniu endeckim pisałem w tym czasie: „Można głosić werbalny nacjonalizm i odmieniać to słowo na wszystkie przypadki i nie być nacjonalistą. A wystarczy uczciwie służyć aktualnym interesom państwa, podporządkować mu wszystkie inne interesy, współdziałać w tworzeniu jego siły i potęgi, aby być nacjonalistą”.

Tymczasem we Lwowie książę Andrzej Sapieha wezwał publicznie do bojkotu „Dziennika Polskiego” przez nas redagowanego i skierował ten apel do ziemian w odwecie za akcję pisma na rzecz wykonania reformy rolnej i wprowadzenia nadzoru nad parcelacją prywatną ze strony władz wojewódzkich. Zajęliśmy się tym tematem także w „Kurierze”.

W Krakowie zmarł Karol Hubert Rostworowski, któregośmy pięknie uczcili serdecznym wspomnieniem pośmiertnym. Zmarł również b. premier Władysław Grabski, którego syn Zdzisław był jednym z członków dyirekcji „Kuriera”.

W lutym przebywałem w Krakowie z okazji kongresu Stronnictwa Ludowego i przekazałem o nim obszerną relację. Pisałem potem w marcu na temat tego kongresu: „Źle jest mieć małą siłę organizacyjną, ale jeszcze gorzej posiadać zbyt rozgałęzioną sieć tej siły. Prawdę tę potwierdza w tej chwili Stronnictwo Ludowe. Dotychczasowa taktyka roz-

budziła w kołach partyjnych zbyt wielkie nadzieje i postulaty, których realizacji nie może zapewnić kierownictwo. I tu tkwi zadatek dużych jeszcze konfliktów w łonie tej partii. Zaciąży to niewątpliwie na dalszym ciągu rozwoju sytuacji w Stronnictwie Ludowym". Przebieg i wyniki kongresu oceniano jako sukces umiarkowanej linii Rataja przeciw gwałtownym zamierzeniom Witosy przebywającego na emigracji. Witos nie był wtedy zadowolony z postawy swoich przyjaciół partyjnych w kraju i w wiele lat potem dał temu wyraz w swoich pamiętnikach, w których nie szczędził cierpkich uwag pod adresem niektórych działaczy własnej partii.

Tak doszliśmy do marca, w którym rozegrał się wstępny akt zbliżającej się tragedii, nie tylko polskiej. Dnia 11 marca Hitler wkroczył z wojskami do Austrii i wcielił ją do Trzeciej Rzeszy. Piestrzyński pisał nazajutrz na łamach naszego pisma: „To, co stało się w Austrii, nie może być uważane za aneksję obcego narodowo państwa, nie może uchodzić to za groźbę pod adresem państw opartych na narodowej postawie. Jesteśmy świadkami wykonywania starego ideału zjednoczenia niemieckiego wysuniętego przez romantyków niemieckich w r. 1848 na frankfurckim zgromadzeniu narodowym, w wyniku tzw. Wiosny Ludów. Fakt, że w obronie odrębnej Austrii nikt nie poświęcił kropli krwi, świadczy najwymowniej o nastrojach tego kraju". Nie można było napisać w tamtych dniach artykułu bardziej lekkomyślnego i błędnego. Stanisław Kozicki na łamach endeckiego „Warszawskiego Dziennika Narodowego” również dowodził, że zjednoczenie Austrii z Niemcami jest „nieubłaganą koniecznością historyczną”, z którą liczył się także Roman Dmowski w okresie pierwszej wojny światowej. Natomiast nie podzielił tej opinii organ Frontu Morges. „Zwrot” pisał piórem W. Nienaskiego: „Nauki, jakie można wyciągnąć z Anschlussu, nie powinny pójść w las”. A następnie: „Polityka pozorów wydaje się nam polityką najgorszą. Trzeba z nią zerwać w sposób jasny i zdecydowany. Zwłaszcza, że czas płynie, a czas to obecnie drogi”. Uwagi te wkrótce okazały się słuszne. Piestrzyński pisał natomiast: „Choć nic nie wskazuje, by pokój miał ulec naruszeniu na skutek wypadków austriackich, to jednak liczyć się trzeba z dalszymi przemianami w politycznej sytuacji europejskiej i dalszą aktywnością międzynarodową. Rodzi się nowa Europa, w tej nowej Europie Polska musi oczywiście posiadać należne jej miejsce”. Ponieważ wypowiedzi na łamach „Kuriera” na tematy międzynarodowe polityki Polski były wtedy, jak zawsze przedtem i potem, najdokładniej uzgadniane z ministerstwem spraw zagranicznych, artykuły Piestrzyńskiego stanowiły wierne echo poglądów i stanowiska ulicy Wierzbowej.

Cytowany artykuł stał się przygrywką do sprawy litewskiej, którą Beck podjął natychmiast po wypadkach w Austrii, aby uzyskać pozory

„należnego miejsca” dla Polski. W dniu 16 marca, w którym ukazał się ten artykuł, na Zamku odbyła się narada z udziałem Śmigłego, Becka, Składkowskiego i Kwiatkowskiego pod przewodnictwem Mościckiego. Dnia poprzedniego lub nieco wcześniej na granicy polsko-litewskiej został zabity żołnierz polski kapral S. Serafin. Nazajutrz, 17 marca, rząd polski wystosował ultimatum do Kowna, domagając się bezzwłocznego nawiązania stosunków dyplomatycznych między Polską a Litwą, których nigdy dotąd nie było w wyniku oporów Litwy. Dwieście tysięcy ludzi manifestowało tego dnia w Warszawie, setki tysięcy innych zgromadziło się w innych miastach Polski. Wypadały właśnie imieniny Śmigłego, co dało asumpt do szczególnych manifestacji na jego cześć. Jako specjalny korespondent polityczny „Kuriera” przez kilka dni przebywałem w Wilnie na wypadek wkroczenia wojsk polskich na Litwę, gdyby odrzuciła polskie ultimatum. Depeszowałem z tego miasta do Warszawy, że Wilno jest gotowe do wymarszu, że przebywał w mieście Śmigły, ale odjechał, że z Wilna do Kowna można przemaszerować w ciągu 50 godzin do 3 dni, że w mieście odbywają się manifestacje, a młodzież wybiła szyby w litewskim gimnazjum. Byłem w Wilnie wtedy po raz pierwszy (i ostatni) i z pokorą wyznaję, że nie zrobiło na mnie szczególnego wrażenia. Uroczę były okolice, miasto wyraźnie przygnębiało wschodem i głęboką prowincją. Nie chcę urażać niczym Wilnian i może nie byłem zbyt uważny, ale Wilno nie zagarnęło mego serca. Bez żalu i szybko z niego odjeżdżałem, gdy Kowno dało odpowiedź pozytywną. Nazajutrz, 19 marca, w dniu imienin Piłsudskiego, obchodzonych wówczas także po jego śmierci, pisałem w „Kurierze”: „Jakże cudowna może być polska wiosna roku 1938, jeżeli będziemy posłuszni woli Piłsudskiego”. Byliśmy jej wtedy posłuszni, ale w rok później to posłuszeństwo stało się zawodne i nieprzydatne dla losów polskich. Nie wiedzieliśmy o tym w marcu 1938 r. i oszołomił nas pozorny sukces na odcinku litewskim. Kraj opętany tym złudzeniem żywiołowo manifestował, a „Czas” stwierdzał „jednolite w danym wypadku stanowisko opinii polskiej”. „Warszawski Dziennik Narodowy” w krytycznych dniach kryzysu pisał również: „Ta permanentna prowokacja, jaką jest polityka rządu litewskiego, coraz bardziej staje się nie do zniesienia. Cierpliwość polska wyczerpuje się. Okres dobrotliwej perswazji minął bezpowrotnie”. Prasa innych odcieni wyrażała podobną postawę. Byliśmy zaczadzeni i nie dość świadomi, że ważne jest nie to, co działo się na granicy polsko-litewskiej, ale to, co już się stało w Wiedniu. Do Warszawy przybył wkrótce pierwszy poseł litewski Kazys Skirpa, w Kownie objął funkcje poseła polski Charwat.

Jerzy Drobnik w artykule *Swastyka na niemieckim mundurze wojskowym* pisząc z Berlina, gdzie był naszym korespondentem, uzasadniał zmiany w armii niemieckiej, po objęciu naczelnego dowództwa przez

Hitlera i nie uważał ich za zaskakujące ze względu na wiadomy ustrój wprowadzony w Niemczech, przy czym wykluczał sprzeciwy lub opory w armii. W Berlinie z początkiem miesiąca odbył się kongres Polaków w Niemczech; witaliśmy go artykułem pt. *Jesteśmy jednej krwi*.

W polemice z Catem, który snuł jak zwykle, różne fantastyczne horoskopy w „Słowie”, napisałem w tym czasie: „P. Cat nie zna granic, gdy zaczyna być megalomanem. A co jest w tym najbardziej śmieszne, to jego przeświadczenie, że historia toczy się według wskazówek i artykułów w »Słowie«”.

Jakby świat nurzał się w błogostanie, w prasie warszawskiej podjęto kampanię na rzecz budowy metra w stolicy.

Na prima aprilis — jak to bywa w zwyczaju prasowym — zamieściłem w rubryce naszych plotek kilka zmyślonych i nieprawdopodobnych informacji, jak np. wiadomość, że Tadeusz Bielecki został prezesem Stronnictwa Narodowego, co w owym czasie mogło uchodzić tylko za dobry żart, ponieważ Bielecki wobec sprzeciwu samego Dmowskiego, jak przede wszystkim kierownictwa jego własnej partii, nie miał w tym czasie najmniejszych szans na objęcie tego stanowiska, do którego doszedł dopiero w przeszło rok później po zgonie Dmowskiego i w bezpośrednio przedwojennym okresie szczególnego chaosu w partii. Inną primaaprilisową wiadomością „Kuriera” była wtedy informacja, że Stanisław Dubois obejmuje stanowisko redaktora politycznego w „Robotniku”, co także było wykluczone wobec wewnętrznych sprzeczności, jakie zachodziły wówczas między nim a kierownictwem PPS. Jeszcze innym dowcipem primaaprilisowym była wiadomość, że Cat-Mackiewicz obejmuje redakcję „Polski Zachodniej” w Katowicach, to jest organu wojewody M. Grażyńskiego, a redaktor „Polski Zachodniej” Kopeć przechodzi na stanowisko redaktora naczelnego „Słowa” w Wilnie. Pikanteria tej plotki polegała na tym, że Cat dopiero co otrzymał wyrok w procesie wytoczonym przeciw niemu przez Grażyńskiego o zniesławienie. Ogłosiłem też wiadomość, że utworzona została wspólna komisja porozumiewawcza ludowców w składzie: Rataj, Mikołajczyk, Gruszka, Smoła, Róg i Nosek, z których każdy reprezentował odrębne wśród ludowców tendencje i ambicje i oczywiście o ich uzgodnieniu nie mogło być dlatego mowy. Tak opozycja ówczesna dawała nieograniczony temat do satyry i dowcipów, chociaż nie brakowało oczywiście materiału dla nich również po stronie kół rządowych. Bodaj całe życie polityczne Polski ówczesnej nadawało się w znacznym stopniu do szopki politycznej.

Kwiecień po wypadkach marcowych minął raczej spokojnie. Beck bawił w Rzymie. Janusz Makowski na łamach „Kuriera” witał to wydarzenie w odświeżających słowach, podkreślając walory „realistycznej po-

lityki włoskiej i równie realnych torów polityki polskiej". Z Moskwy nadeszły kolejne wiadomości o procesie Jagody, Bucharina i towarzyszy.

Na arenie wewnętrznej nastąpił kryzys w Związku Młodej Polski, skąd wycofano Rutkowskiego z Falangi, a na jego miejsce wszedł major Edmund Galinat, postać całkowicie dotąd nie znana w ruchach ideowych młodzieży i delegowana także z szeregów armii. Z naszego punktu widzenia sytuacja uległa jednak o tyle polepszeniu, że drugim zastępcą Galinata jako kierownik ideowo-wychowawczy został Janusz Makowski, najściślej związany z naszą grupą, redaktor „Awangardy” i współredaktor „Kuriera Porannego”. Do składu kierownictwa Związku należał również Józef Białasiewicz, członek naszej grupy i także współredaktor „Kuriera”. Uzyskałszy więc, jeśli nie całkowite, to co najmniej znaczne wpływy w Związku, które dzieliliśmy z działaczami Związku Młodej Wsi. Z jego ramienia pierwszym zastępcą Galinata został Henryk Puziewicz, młody działacz chłopski z Rzeszowszczyzny. Podlegały mu sprawy organizacyjne. W wydanej deklaracji nowe kierownictwo głosiło: „Nie uznajemy takich lub innych bożków partyjnych czy grupowych. Jedynym autorytetem, któremu podporządkowujemy się całkowicie, jest marszałek Śmigły Rydz. Uważamy go nie tylko za wodza armii, ale i za wodza narodu i całej młodzieży polskiej”. Tak więc obalając najprzeróżniejsze istniejące wówczas bożki partyjno-grupowe, kreowano nowego bożka. Była w tym stanowisku wyraźna niekonsekwencja, ale nie stanowiła ona jedynej w tym okresie. Było ich znacznie więcej i nie tylko na tym odcinku. Janusz Makowski objął redakcję organu Związku pt. „Młoda Polska”. W tej rundzie wygraliśmy zatem rozgrywkę z Falangą, która została wyeliminowana ze Związku. Warto jednak dodać, że satysfakcji z tego sukcesu nie podzielał członek naszej grupy Zdzisław Stahl, który niepoprawnie uważał się nadal za jedyne, właściwego kandydata na przywódcę i wychowawcę młodego pokolenia. Oczywiście w tej dziedzinie celował wyłącznie na stanowisko czołowe, a nie podrzędne, choćby na wysokim szczeblu. Stąd zrodziła się od razu awersja mego przyjaciela do Galinata, którego Stahl całkowicie dyskwalifikował jako przywódcę, w czym zresztą się nie mylił, ale z niechęcią spoglądał także na pozycję Makowskiego i Białasiewicza w kierownictwie Związku, chociaż obaj byli działaczami naszej grupy, ale powiązani z jej skrzydłem poznańskim: Makowski od dawna jako redaktor „Awangardy” i pupil Zygmunta Wojciechowskiego, a Białasiewicz jako współredaktor „Kuriera Porannego”, w którym redaktorem naczelnym był Piestrzyński, działacz także grupy poznańskiej. Stahl od początku zabiegał o uzyskanie odpowiedniej pozycji w bliskim otoczeniu Śmigłego i podejmował w tym kierunku różne, ale bezowocne próby. Prawdopodobnie przeszkadzał mu w tym dyskretnie zespół poznański, który posiadał daleko lepsze

kontakty z Klonową. Głównym kanałem na tym odcinku był Klub 11 Listopada, gdzie poznaniacy z naszej grupy należeli do prominentów. Osobiście nie uczestniczyłem w żadnym z tych zabiegów i manewrów ani na terenie Związku Młodej Polski, ani w Klubie 11 Listopada, ani w OZN. Zajmowałem się w Warszawie wyłącznie publicystyką w „Kurierze Porannym”, pasje organizacyjne ograniczając do zajęć na bardziej skromnym odcinku warszawskiej organizacji Związku Młodych Narodowców, późniejszego Ruchu Narodowo-Państwowego.

W kwietniu rozprawilem się m. in. z propagandą prasy partyjnej wymierzonej przeciw „odstępcom”, to jest ludziami, którzy opuścili partię i zajęli odmienne pozycje. Kampania ta wymierzona była między innymi także przeciw naszej grupie, ale obejmowała również inne. „Partie są tak dalece solidarne w strzeżeniu zasady nienaruszalności doktryn partyjnych — pisałem — że pomagają sobie wzajemnie w walce z tymi, którzy tę zasadę złamali i wyszli poza doktryny. W ten sposób dochodzi do zabawnej współpracy międzypartyjnej (jedynej, która jest realizowana), a polegającej na tym, że »Robotnik« i »Dziennik Ludowy« z zapalem zwalczają »odstępców« Stronnictwa Narodowego, a »Warszawski Dziennik Narodowy« »odpryski« PPS. Na tym punkcie są zgodni, ale i na tym też jest koniec”.

Nie zaniedbałem także konserwatystów. „Konserwatyści — pisałem wtedy — związani jak najściślej z przemysłem, który w olbrzymiej swojej większości reprezentuje obcy kapitał i obce interesy, nie mają żadnego tytułu do określania narodowego charakteru polityki tej czy innej grupy politycznej w Polsce”.

Cat-Mackiewicz na łamach „Słowa” odmówił w tym czasie płacenia składek na Pomoc Zimową, motywując to przymusowym charakterem tej akcji, gdy on domagał się zachowania w niej absolutnej dobrowolności. Pisałem na ten temat: „P. Cat-Mackiewicz lubi oryginalność w swojej nieodpowiedzialnej działalności publicystycznej. W działalności tej posuwa się do wystąpień, które opinia traktuje w ten sam sposób, jak toleruje się wybryki małych Dyziów lub osobnika o nie dość poczytalnej umysłowości”.

[...] Na marginesie wybryków antypolskich w Gdańsku ze strony nazistów „Kurier Poranny” napisał w maju: „Społeczeństwo polskie wyzwanie to przyjmuje, ponieważ nie pozwoli szargać honoru i dobrego imienia swoich, w tak twardej warunkach służbę pełniących celnych urzędników nadzorczych”. Sprawa dotyczyła napaści prasowej nazistowskiego „Danziger Vorposten” na urzędników polskich. Na ten sam temat „Kurier” pisał także: „W myśl programu narodowo-socjalistycznego partia i państwo stanowią jedną, nierozzerwalną całość. Nie wiadomo, jak na to zareagują polskie czynniki miarodajne, ale opinia polska domaga

się satysfakcji. Chamstwo, na jakie pozwoliło sobie kierownictwo »Vorpostenu«, nie może ująć bezkarnie. Należy mieć nadzieję, że oficjalne czynniki Wolnego Miasta i stronnictwo rządzące za ten nieodpowiedzialny akt swego organu przeproszą kogo należy, a w stosunku do sprawcy określonej notatki wyciągną najostrzejsze konsekwencje. W przeciwnym bowiem wypadku konsekwencje wyciągnie strona polska, nie zadowalając się jedynie odebraniem debitu wspomnianemu pismu". Ten niewątpliwie ostrzejszy ton w stosunku do nazistów, co prawda tylko w Gdańsku, był w piśmie rządowym pewną nowością w tonach stosowanych dotąd wobec strony niemieckiej.

Kilkanaście dni jednak przedtem Bronisław Wulfuss (co prawdopodobnie było pseudonimem któregoś z polskich ekspertów wojskowych) wypisywał na łamach „Kurieria Porannego” następujące wręcz — niestety — brednie: „Przypisywanie przesadnej roli motoryzacji czy rozwojowi i roli motoryzacji w armii niemieckiej prowadzić może do niewłaściwych wniosków. Ze strony kół fachowych wysuwane są obawy, czy dzisiejsza zmotoryzowana dywizja piechoty niemieckiej nie jest jednakowoż zbyt ciężką jednostką, a przez to powolną w ruchach”. O ile powtarzane wtedy plotki na temat „papierowych czołgów” Hitlera mogły być usprawiedliwione nieodpowiedzialnością anonimowych autorów tego rodzaju szkodliwych i niebezpiecznych andronów, o tyle trudno doprawdy uzasadnić rację artykułu w podobnym tonie publikowanym w organie rządowym i politycznym prawie na rok przed agresją hitlerowską. „Niemcy — pisał ów p. Wulfuss — z podziwem pytają, jak Polska mogła swego czasu w ciągu dwu lat stworzyć armię z niczego i zwyciężyć Rosję”. Był to argument z dziedziny mitomanii szczególnie modnej w owym okresie, niemniej kolportowany i budujący nie tylko nadmierne nadzieje, ale i przekonania w całym społeczeństwie.

Na froncie wewnętrznym odbywała się nadal polemika z prasą opozycyjną, głównie na tematy zasadnicze. „Nacjonalizm endecki — pisałem w dniu 1 maja — idzie ciągle po linii konkurencji państwa z narodem i przeciwstawiania obu tych sił. Rodzą się z tego fatalne, zupełnie potworne absurdy i dziwolągi, które zastraszają tępym i niepojętym na rozum ludzi charakterem. Tak jak na nacjonalizmie endeckim zaciążyła tradycja starej polityki walki z państwem, tak na oenerowskim wywarła decydujący wpływ sugestia współczesnych, obcych prądów i oślepiła świadomość słusznego skądinąd odruchu, aby zdobyć się na jakąś ewolucję. Pierwszym, naczelnym znamieniem nacjonalizmu Polski musi być jego ścisły związek z organizacją państwa. Nacjonalizm upatrujący w państwie jakiegokolwiek przeciwieństwo interesów narodowych jest herezją. Nacjonalizm nie może być i nie jest niczyją kapliczką”. Kiedy Kazimierz Czapiński omówił w „Robotniku” stosunek Stronnictwa Na-

rodowego do sprawy żydowskiej i poddał go surowej krytyce, napisałem w „Kurierze Porannym”: „P. Czapiński, z którym w znacznej większości wypadków zasadniczo się nie zgadzamy, w tym wypadku ma rację. Straszna jest mentalność ludzi, którzy w Polsce nie widzą Polski, tylko wyłącznie Żydów. I którzy nazywają to polskim nacjonalizmem”.

[...] Czerwiec nie wyróżnił się żadnym większym wydarzeniem. Po wypadkach wiosennych nastąpił zwodniczy okres niemal sielanki. Marszałkiem Sejmu w miejsce zmarłego właśnie Stanisława Cara został wybrany Walery Sławek. Niedługo cieszył się jednak tą rolą. W prasie OZN zaznaczyła się nagle wzmożona kampania przeciw Czechosłowacji. Podjęto zarzuty na tle spraw mniejszości polskiej na czeskim Śląsku.

[...] Lipiec stał się nieco bardziej ożywiony. Śmigły odwiedził Rygę, natomiast w Warszawie bawiła delegacja kombatanów niemieckich, co należało do repertuaru wzajemnych ówczesnych stosunków polsko-niemieckich pozorowanych wzajemnymi kurtuazjami podejmowanymi już na dymiącym wulkanie wydarzeń. W Warszawie obok Belwederu ustawiono przywieziony z Magdeburga domek drewniany, w którym przebywał przymusowo Piłsudski z Kazimierzem Sosnkowskim po ich aresztowaniu w czasie pierwszej wojny światowej. Nadburmistrz Magdeburga Markmann złożył wiązanek kwiatów przed tym domkiem, a towarzyszył mu przy tej uroczystości burmistrz tego miasta Schneider. Gestom nie było końca, aby pokryć tym staranniej grozę dni nadchodzących.

A tymczasem rozwijała się nadal kampania antyczeska. „Słyszysz się tu i ówdzie — pisał J. Białasiewicz w „Kurierze Porannym” — wołania o współpracę z Czecho-Słowacją (przestrzegano takiej właśnie pisowni — przyp. mój), o udzielenie jej pomocy i poparcia. Będą to głosy wołającego na puszczy tak długo, jak długo krwawić będzie polskie Zaolzie. Jedyną drogą do porozumienia z niewdzięcznym sąsiadem z południa jest uznanie praw Polski do Śląska cieszyńskiego”. Ton i tendencja tej wypowiedzi stały się jasne w dwa miesiące później. Ale już w lipcu 1938 r. temat był inspirowany i przygotowywany.

Toczyła się także dyskusja o masonach, jako o jednej z głównych trosk polskiego życia. Pierwsze skrzypce grał w tej dziedzinie Leon Kozłowski na łamach pisma „Polityka”, co miało echa nawet w Senacie i w pierwszym starciu skończyło się zdemaskowaniem Kozłowskiego jako autora zmyślanych wieści i informacji.

Kazimierz Smogorzewski na łamach „Gazety Polskiej”, omawiając wydaną właśnie książkę Becka *Przemówienia, deklaracje, wywiady*, pisał z całą powagą o zasadach polskiej polityki: „W swych celach, środkach, założeniach i tendencjach polityka zagraniczna Polski jest prosta, jasna i dla każdego inteligentnego człowieka zrozumiała. Trzy są jej cechy główne: niezależność, realizm i pokojowość. Z powodów wewnętrz-

no-politycznych nie zawsze się to głośno mówi i czarno na białym pisze, ale po cichu każdy przyznaje, że obecna polityka zagraniczna jest nie tylko dobra, ale i jedynie możliwa". Byliśmy w tym czasie już tylko dwa miesiące przed wrześniem 1938 r., siedem miesięcy przed marcem 1939 r., a tylko 13 miesięcy przed 1 września 1939 roku. Kazimierz Smogorzewski nie był jednak jedynym ślepcem w Polsce. Wszyscy byliśmy ślepi i nieświadomi, oprócz — przyznać trzeba — komunistów. Ci zasad polityki polskiej owych czasów nie oceniali jako dobre ani jedyne. Mieli na nie inną receptę.

Rozwój sytuacji w Austrii nie stanowił przedmiotów troski w Warszawie. Tytuł depechy z dnia 1 lipca w „Kurierze Porannym” brzmiał: *Schuschnigg zawdzięcza życie łasce kanclerza Hitlera — Zapowiedź odżyczenia Austrii.*

Centralnym punktem napięcia i zainteresowania w sierpniu 1938 r. stała się sprawa przewiezienia trumny ze zwłokami króla Stasia do Polski. Rozpętało się istne piekło nad krajem. Rząd odmówił umieszczenia trumny na Wawelu i postanowił złożyć ją w kościele w Wołczynie na Podlasiu. Polska podzieliła się na dwa obozy. Gloryfikacji ostatniego króla przewodził z Wilna Stanisław Cat-Mackiewicz, który uderzył w najwyższe struny. Odpowiadałem mu na łamach „Kuriera”: „P. Cat zapisuje się w tych dniach szczególnie ponurą kartą swojej działalności. Wskrzesza upiorne i przekłete wspomnienia ludzi, którzy w chwili rozbioru Polski pod pozorem przywiązania do królewskiego majestatu rozgrzeszyli również zdradę i stali się podnózkami obcych tronów, bo własny zaprzędali”. Po czym konkludowałem: „Trumna królewska w starym, patyną obłożonym kościele, winna pozostać wiecznym symbolem pokuty, odprawianej przez naród za winy ojców. Wódz, który przegrał bitwę — pisałem — może być bohaterem. Ale wodza, który opuścił własne szeregi widząc przewagę wroga, wykreśla się na zawsze z rzędu herosów”. Nie przeczuwałem ani przez sekundę, że poruszam temat, który wkrótce stanie przed nami wszystkimi. I że będzie to znowu problem polskiej tragedii. Młody wówczas felietonista „Kuriera” Lech Pietrzak, wypełniający rubrykę „Dziury w całym”, pojechał za moją zachętą do Wołczyna i napisał o nim i o trumnie króla swój pierwszy w życiu znakomity, świetny reportaż, po czym już przez całe życie pozostał przy tej formie publicystyki i nigdy w niej nie zawodził.

Poza tym życie biegło wedle ustalonych torów. Nagonka antyczeska pogłębiała nadal ton: *Prowokacja jako metoda polityczna Pragi* — brzmiał tytuł sierpniowego artykułu „Kuriera”.

W połowie miesiąca odbyto zjazd wiejskiej sekcji Związku Młodej Polski z udziałem Galinata. W serii polemik rozprawiałem się z rasi-stowskimi skłonnościami Mariana Seydy w „Kurierze Poznańskim”,

a Stanisława Kozickiego w warszawskim organie endecji. Temu tematu poświęciłem artykuł *Na ostrym zakręcie*. Dodatek ukraiński w naszym piśmie został zlikwidowany „w związku z reorganizacją działu spraw ukraińskich”. Przedłużyła się ona aż do wybuchu wojny. Likwidacja dodatku nastąpiła w wyniku decyzji ministerstwa spraw zagranicznych, które postanowiło przerwać propagandę petlurowską na łamach swego półoficjalnego organu. Czasy coraz bardziej nie sprzyjały takim imprezom. W sierpniu Beck gościł w Oslo.

Tak dobiegliśmy września i października, w których rozegrał się dalszy złowrogi akt europejskiego i polskiego dramatu. W dniu 1 września Konrad Heinlein, przywódca Niemców sudeckich, zjawił się na audyencji u Hitlera, po czym wypadki zaczęły biec z zawrotną szybkością. *Hitler pragnie rychłych rozstrzygnięć, Bolszewizm największym niebezpieczeństwem dla Europy — wywiad z kanclerzem Hitlerem, Komuniści pchają Francję do wojny* — oto tylko niektóre tytuły z owych dni wrześniowych na łamach nie tylko „Kuriera Porannego”, ponieważ podobne figurowały także i w innych pismach tamtego okresu. „Kurier”, podlegający inspiracjom i dyspozycjom MSZ, zdawał się jednak nie stosować miary. 5 września na pierwszej stronie pokazano fotografię Hitlera w towarzystwie Heinleina, w następnych dniach kolejno zdjęcia z defilady wojsk hitlerowskich, a nawet uroczystości imieninowych führera. Na domiar do Berlina przybył właśnie główny komendant polskiej Policji Państwowej gen. Kordian Zamorski i reprodukowano jego zdjęcia z przeglądu honorowej kompanii policji niemieckiej z jej szefem gen. Daluegiem.

Po całomiesięcznej „wojnie nerwów”, dwukrotnych pertraktacjach Chamberlaina z Hitlerem w Berchtesgaden i Godesbergu, doszło — jak wiadomo — w dniu 30 września do podpisania tzw. układu monachijskiego za zgodą i w obecności premierów Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec i Włoch bez udziału przedstawiciela Czechosłowacji, której ten układ dotyczył i której na rzecz Niemiec odbierał Sudety. „Proces rozwoju ekspansji Niemiec — pisał w tydzień potem „Kurier Poranny” — w krajach naddunajskich i bałkańskich, proces zaawansowany mocno po Anschlussie, po przyłączeniu Sudetów ulegnie niewątpliwie przyspieszeniu. W chwili obecnej trudno jeszcze zdać sobie w całej pełni sprawę z kierunku zmian, jakich przyczyną stanie się przyłączenie Sudetów do Rzeszy. Jedno jest pewne: stoimy w obliczu całkowitego przeobrażenia się fizjonomii politycznej i gospodarczej Europy”. Teza ta była w zasadzie trafna i prawdziwa, tyle że rozmiary nadchodzących „przeobrażeń fizjonomii Europy” odbyły się nieco później, po wojnie, ale w pośrednim następstwie Monachium, w zupełnie innym wymiarze i kierunku, niż to przewidywały koncepcje i wizje ówczesnej polityki polskiej, zarówno

z Wierzbowej, jak z wszystkich innych ośrodków politycznych ówczesnej Polski.

[...] Żadna, najbardziej precyzyjna wizja z owych lat nie mieściła w sobie obrazu przyszłości ani Polski, ani Europy, ani świata. Nie było takiej wizji również w „Kurierze Porannym”, a nie popełnię nieścisłości, jeśli dodam, że nie istniała ona również w żadnej bez wyjątku redakcji jakiegokolwiek ówczesnego pisma w Polsce. I to jednc można przytoczyć na usprawiedliwienie błędów i pomyłek każdego, kto składa relację z ówczesnych dni. Nie było w nich po stronie polskiej złej woli, był natomiast przede wszystkim niewiarygodny i karygodny brak wyobraźni politycznej i rozpoznania nadchodzącego okresu. Te braki w polityce są bodaj gorsze od najgorszej woli i intencji.

Równolegle z akcją Hitlera i sprawą Sudetów podjęto w Polsce operację czeską. W pierwszych dniach września kontynuowano bez przerwy nagonkę przeciw Pradze. W dniu 16 września w „Kurierze Porannym” ogłosiliśmy artykuł pt. *Zbliża się chwila, kiedy muszą rozstrzygnąć się losy Śląska Cieszyńskiego*. Było to na dwa tygodnie przed Monachium. W dniu 21 września rząd polski wysłał pierwszą notę do Pragi, po czym ponowił ją w dniu 30 września. Minister spraw wojskowych Kasprzycki wydał równocześnie w Cieszynie odezwę, w której zapowiadał: „Chwila powrotu liczy się nie na godziny, ale już na minuty”. Przedtem już, w dniu 20 września, prasa informowała, że granica polsko-czeska jest obsadzona przez zgromadzone oddziały armii polskiej. „Paryż i Londyn — pisał „Kurier Poranny” w tym dniu — wystąpiły z interwencją zmierzającą do uniknięcia konfliktu z powodu wydarzeń w Europie środkowej. I znowu tak, jak przed 20 laty, chcą traktować tę część Europy, jak coś w rodzaju rejonu kolonialnego. Wobec odrodzenia się tendencji do wywoływania zgubnych widm przeszłości, rząd polski — jeśli chodzi o traktowanie interesów polskich — dokonał interwencji ostrzegawczych. Ktokolwiek by przypuszczał, że dzisiejsza Polska da się użyć za narzędzie jakiejś polityki z nią nie uzgodnionej, z góry musi wiedzieć, że się myli i że koszta tej pomyłki zapłaci”.

Deklaracja była stanowcza w słowach i tonie, ale niewykonalna w wytworzonym już położeniu. Polska mogła oczywiście działać samodzielnie i podjęła taką decyzję w rok później, ale już w sytuacji, która musiała zakończyć się jej porażką. Niemcy Hitlera w tym rejonie Europy uchwyciły główne elementy swego przyszłego, chociaż przejściowego sukcesu, i dokonały tego kosztem Polski. Sprawa Śląska Cieszyńskiego i podjęta w jego sprawie inicjatywa polska nie ratowała beznadziejnej sytuacji. Pozostawała tylko grą opartą na politycznym hazardzie, który wypełniał praktycznie bezpośrednio dalszy, roczny okres polskiej polity-

ki przed napadem Hitlera, dumnej i stanowczej w postawie, ale dramatycznej i tragicznej w skutkach.

Faktyczne ultimatum polskie skierowane do Pragi prasa polska przyjęła w znacznej większości z aprobatą. „Czas” pisał wtedy: „Jeśli mocarstwa zachodnie wychodzą z założenia, że bez oddania kraju sudeckiego Rzeszy nie da się osiągnąć trwałego pokoju, to trzeba, by sobie zdali sprawę, że my bez względu na stanowisko, które one zajmą, z naszych praw do Śląska Cieszyńskiego nie zrezygnujemy”. Tak samo zadeklarował się „Kurier Warszawski”, organ zbliżony do Frontu Morges: „Wystąpienie ambasadorów Rzeczypospolitej — pisał ten dziennik — w czterech stolicach wysunęło sprawę ludności i ziemi polskiej w Czecho-Słowacji, jednomyślnie dziś pojmowanej przez ogół polski w duchu zespolenia ich z Rzeczpospolitą”. „ABC” już po zajęciu Zaolzia oświadczało: „Dzień powrotu Zaolzia jest dla społeczeństwa polskiego świętem, wielkim świętem. W dniu tym jednoczą się wszyscy Polacy. W dniu tym zapomniane są wszelkie spory i kłótnie dnia powszedniego”. Pisał jednak również pepesowski „Robotnik”. „Z radością najszczerzą witamy dwa fakty o znaczeniu historycznym. Dwa powiaty Śląska Zaolziańskiego (Cieszyn i Frysztat) przechodzą już bezpośrednio do Rzeczypospolitej. Przechodzą bez interwencji czynników postronnych i nade wszystko bez zatargu zbrojnego pomiędzy armiami obu państw”. „Warszawski Dziennik Narodowy” również deklarował: „Powrót Zaolzia jest zjawiskiem znamienym. Świadczy on o sile i żywotności narodu jako takiego, który nie może być dowolnie dzielony i poddawany władzy państwa obcego”. Do ogólnego chóru dołączył się nawet organ prasowy formacji gen. Sikorskiego, Paderewskiego, Korfantego i Hallera, tj. Frontu Morges. Publicysta „Zwrotu” W. Nienaski pisał: „Polska zgłosiła swe pretensje terytorialne do Śląska Zaolziańskiego i postępowanie polega na tym, że Praga wyraziła gotowość do rokowań, uznając przez to słuszność polskich żądań”.

Zaalarmowaliśmy opinię publiczną Warszawy o wkroczeniu wojsk polskich na Zaolzie specjalnym dodatkiem nadzwyczajnym rozchwytanym w wielotysięcznym nakładzie. Na łamach „Kuriera Porannego” napisałem nazajutrz, co następuje: „Dokonał się w Polsce wielki wstrząs psychiczny pod wpływem historycznych dni. Polska cała, jej masy zrozumiały dzisiejszą wielkość i siłę państwa polskiego. To będzie miało swoje konsekwencje”. Wydaje mi się także dzisiaj, po wielu latach, że w tych słowach oddawałem klimat tamtych dni, aczkolwiek Zaolzie na pewno nie poprawiało polskiej sytuacji, ale wybitnie ją pogarszało.

Pola Gojawiczyńska opublikowała na czołowym miejscu „Kuriera” obszerny, porywający artykuł *Dwadzieścia lat męczeństwa*, poświęcony

Polakom zaolziańskim i oczywiście żywo domagający się ich powrotu do Polski.

2 października Rada Naczelna Stronnictwa Pracy, czyli zdecydowanie opozycyjnej i antysanacyjnej formacji Frontu Morges, pod przewodnictwem gen. Józefa Hallera uchwaliła rezolucję polityczną, w której na wstępie stwierdzano: „Rada Naczelna Stronnictwa Pracy wita z głęboką radością powrót oderwanych części Śląska Zaolziańskiego do Macierzy. W chwili zakończenia walki o ten szmat ziemi polskiej Rada Naczelna składa hołd tym, którzy za jego zjednoczenie się z Polską cierpieli i krew przelali”. W tydzień później również kongres Stronnictwa Ludowego powziął uchwałę analogiczną: „Kongres wita z głęboką radością powrót Śląska Zaolziańskiego i przesyła serdeczne pozdrowienia wszystkim chłopcom polskim [...]”. Obradujący w tym samym mniej więcej czasie w Rzeszowskim lokalny zjazd ludowców podjął rezolucję poddającą politykę Becka krytycznej ocenie. Były to echa dwu tendencji w Stronnictwie Ludowym: jednej oficjalnej, reprezentowanej i utrzymywanej przez Macieja Rataja, i drugiej radykalnej, bezkompromisowej w walce z sanacją, inspirowanej przez Witosą. Nie był zachwycony Zaolziem także Marian Seyda z „Kuriera Poznańskiego”, żeglujący sympatiami ku Frontowi Morges — wbrew linii kierownictwa endecji. Ale nieliczne głosy krytyczne ginęły w zamęcie powszechnego zapалу zaolziańskiego.

Praga przyjęła warunki polskie w dniu 1 października i wojska polskie wkroczyły bezzwłocznie do Cieszyna, a następnie zajęły dalsze części Zaolzia. W całym kraju odbyły się olbrzymie manifestacje, ogromne tłumy stały przy moście granicznym w Cieszynie. Poseł Leon Wolff z parlamentu czeskiego, który reprezentował tam Zaolzie, wszedł od razu do sejmu śląskiego. W dniu 11 października na Zaolzie udał się Beck.

Niebawem podjął on dalszą akcję. „Pragniemy — pisał „Kurier Poranny” w dniu 21 października — by w najbliższym naszym otoczeniu panował porządek. Istnienie porządku w Europie wymaga pełnego załatwienia sprawy Czecho-Słowacji, a w szczególności uregulowania absurdalnej sytuacji Rusi Przykarpackiej”. Z końcem tego samego miesiąca wyznaczono nową granicę węgiersko-czeską, ale to nie satysfakcjonowało zamierzeń Wierzbowej. Wypadki na tym odcinku rozegrały się jednak nieco później.

„Express Wieczorny” tak oceniał nastroje polskie z końca października: „Kto wsłucha się w tętno życia polskiego stwierdzi z łatwością, że bije ono równo, spokojnie. Spokój ten płynie z intuicyjnego, podświadomego uczucia mas społeczeństwa, że główne chmury kłębiące się na horyzoncie nie wyładują się mimo wszystko w piorunowej burzy”. Prze-

powiednia była jak najbardziej błędna, a nie zawierała także całej prawdy. W październiku 1938 r. było w Polsce zarejestrowanych 210 tys. bezrobotnych. Nie tworzyło to korzystnego klimatu dla równego i spokojnego tętna w życiu społeczeństwa. Ale mimo to haszysz sukcesu zaolziańskiego w jakiejś mierze na pewno działał. Bolesław Olszewicz wyłożył zalecenia nieodzowne dla dalszych dni: „Ani charakter granic — pisał w „Kurierze Porannym” — ani budowa pionowa kraju, ani inne czynniki nie mogą przesądzić z góry o losach kraju. Po stokroć ważniejszymi od nich czynnikami są wartość państwa i spoistość jego ludności. Odrodzona Polska w swych granicach dzisiejszych może mimo swego położenia stać się potęgą, o ile główny gospodarz kraju, naród polski, będzie karny, należycie zorganizowany i uzbrojony”. Mitomania i frazeologia nie opuszczały Polaków w tych coraz cięższych miesiącach. Ale taki był już styl tamtych lat. Uległ frazeologii także trzeźwy zwyczaj Stanisław Strzetelski, który pisał w „Kronice Polskiej”: „Trzeba tworzyć silną budowę państwa, zwartą karną organizację narodu opartą na hierarchii i bezinteresownej służbie dla narodu, wśród której żyć będzie wolna, zdyscyplinowana jednostka. Trzeba się pchać — zalecał Strzetelski — gdy idzie o los i przyszłość Polski”.